

Leonard Turkowski

Powroty

(Łazarz)

Tygodnik "Wprost"

Poznań, 1983-1984

Samara

Z kilku budynków szkół, do których uczęszczałem w Poznaniu, tylko jeden zachował się w całości: podstawówka przy ulicy Berwińskiego, która wtedy była szkołą wydziałową, a wchodziło się do niej od ulicy Wyspiańskiego, przez dziedziniec pełen kasztanów. Na dawnym miejscu stoi też – choć już nie ten sam – gmach Akademii Ekonomicznej, która nazywała się wtedy Wyższą Szkołą Handlową, a ja uczęszczałem do niej na zorganizowany tam Wyższy Kurs Dziennikarski. Ze szkoły powszechnej na rogu ulic Głogowskiej i Strusia, w której uczyłem się czytania i pisania – po zbombardowaniu w dniu 1 września 1939 – została tylko część jednego skrzydła: czerwony budynek od ulicy Strusia, zajmowany obecnie przez Politechnikę, a na miejscu drugiego, zburzonego skrzydła – od ulicy Głogowskiej – stoi słynny drewniany potworek architektoniczny postawiony przed Sierpniem.

Lata moje młodzieńcze jednak – lata górne i durne – należą do seminarium nauczycielskiego, które mieściło się w nieistniejącym dwupiętrowym budynku przy ulicy Ratajczaka 30, na rogu ulicy Chudoby, czyli za moich czasów Skarbowej. „Gmach” miał dwa wejścia: jedno do seminarium męskiego im. Ewarysta Estkowskiego, drugie do żeńskiego im. Marii Konopnickiej. W obu skrzypiały stare deski podłogowe, w klasach rano strzelał ogień z kaflowych pieców, w południe dochodził (zwłaszcza latem, przy otwartych oknach) gwar uliczny śródmieścia, a z podwórza – smród ze starożytnych, nie skanalizowanych ustępów, stanowiących zabytek XIX-wiecznego budownictwa drewnianego.

Nam to wszystko nie przeszkadzało, bo seminaria miały najniższe opłaty za naukę, więc myśmy wszyscy pochodzili z proletariackich nizin i przeważnie chcieliśmy się uczyć, by doznać społecznego awansu i zostać nauczycielami. Nie szkodziło i to, że szkoła nie uprawniała do wyższych studiów, choć otwierała drogę do podchorążówki.

Dziś stoi w tym samym miejscu szary biurowiec, na który nie lubię patrzeć.

16.IV.1983

Na dworzec

No nie, nie pamiętam tego dworca kolejowego na ulicy Zwierzynieckiej ani innych, pamiętam tylko ten obecny główny dworzec, z czerwonej cegły, zbudowany w latach siedemdziesiątych minionego wieku, oczywiście wyglądający za moich młodych lat nieco inaczej niż dziś. Na plac przed dworcem wjeżdżał z ulicy Dworcowej tramwaj – jedyńka – który zataczał tu pętlę. Był to oczywiście wóz z otwartymi platformami – motorniczy stał na wietrze, często w deszczu lub śnieżycy. Wsiadało się do niego na samym środku placu, gdzie stała piękna, zdobna poczekalnia tramwajowa. W kole pętli były też szyny, na które odstawiano przyczepne wozy, niepotrzebne w godzinach mniejszego ruchu. Pod Mostem Dworcowym znajdowały się sklepy.

Z Łazarza szliśmy do pociągu ulicą Głogowską aż do Mostu Dworcowego i stąd, jak wszyscy, schodziliśmy schodami w dół, na ten plac. Tylko jadąc do Puszczykowa lub Ludwikowa kierowaliśmy się ulicą Dworcową pod górę, do pawilonu „dworca wycieczkowego, zbudowanego wcześniej jako pawilon reprezentacyjny, w którym witano prezydenta Rzeczypospolitej.

Dworca Zachodniego wtedy jeszcze nie było. Powstał on dopiero w 1929 roku na Powszechną Wystawę Krajową, jako dworzec targowy. Ho, ho, jak się nam skróciła droga na perony! Wystarczyło z ulicy Głogowskiej dojść Odeską (tak się nazywała odnoga ulicy Głogowskiej), obok poczty, do nowego gmachu i już.

Oczywiście, były to czasy, gdy bez biletu nie można było na te perony się dostać, bo przed zejściem schodami do tunelu zatrzymywały człowieka barierki, między którymi stali bileterzy w kolejarских mundurach. Nawet, gdy się chciało odebrać kogoś z przyjeżdżającego pociągu, trzeba było mieć bilet. To kasa sprzedawała bilety peronowe. Później sprzedawały je automaty. Jeszcze później znikły i one, bo zlikwidowano barierki i bileterów. Ale tej dyscyplinie dworcowej towarzyszyła dyscyplina całej kolei. Gdy się wsiadało do pociągu, to się jechało według minutowego rozkładu. Były to bowiem owe legendarne czasy, gdy według gwizdu lokomotywy nastawiali ludzie zegarki.

17.IV.1983

Wieża i serce

Moja matka mawiała tak: – Gdy wiatr wieje od strony Górczyna, to może być deszcz, a jeżeli od Wieży Górnosławskiej to raczej pogoda. Tak to się przedstawiało dla mieszkańców ulicy Głogowskiej. Musze przyznać, że przepowiednie się sprawdziły. Może między innymi dlatego lubiłem tę kopulastą wieżę? Ba! Chyba byłem z niej nawet dumny, stanowiła w moich oczach jeden z symboli rodzinnego miasta.

Stała już trzy lata, gdy urodziłem się tuż po wybuchu Pierwszej Wojny Światowej, bo była głównym elementem architektonicznym Wystawy Wschodniemieckiej w 1911 roku. Pozostała nim jeszcze na Targach Poznańskich i na Powszechnej Wystawie Krajowej 1929 roku, gdy opodal niej pracowałem, bo wakacje trwały przez cały kilkumiesięczny okres wielkiej imprezy handlowej, a był to wyjątkowy w Poznaniu rok, gdy każdy mógł znaleźć pracę, nawet uczeń szkolny. Ale wtedy przeciwwagą ogromnej kopuły stały się nowo zbudowane od frontu pylony, wskazujące wejście na tereny wystawowe.

Przez ile lat każdego dnia, zdążając z Łazarza do śródmieścia przechodziłem obok niej albo przejeżdżałem tramwajem? Patrzyłem na nią i nie dostrzegałem jej brzydoty – tak przywykły do niej moje oczy, tak przylgnęło do niej moje serce. To właściwie nie była wieża, była to jakby potwornej wielkości baba z piasku.

No i jak baba z piasku, zwała się pod koniec wojny. Choć przecież żelazny szkielet trwał, gdy wróciłem „z wojny”. Przyjąłem z ulgą jej nieobecność. Trzeba było i pewnego dystansu i dorobienia do właściwej oceny estetycznej tego popruskiego potworka architektonicznego. Miałem jedno i drugie. Łatwo uznałem wyższość lekkiej iglicy, która stanęła na szczątkach wieży.

Jej upadek pomógł mi zrozumieć lepiej moje miasto, oddzielić pruską szkaradę od tego, co prawdziwie poznańskie. Tej selekcji dokonuje do dziś – ilekroć idę przez Poznań. Dzięki temu kocham go coraz bardziej.

24.IV.1983

Nocą u Hallera

Pisać dziś w ciepłym tonie o picciu alkoholu? – strach. Toteż rozpocznę od obrazka. Jest koniec maja czy początek czerwca. Opuściłem o północy jakąś knajpę w śródmieściu, wsiadłem do konnej dorożki i wracam na Łazarz do domu. Między Kaponierą a Mostem Dworcowym, po lewej, z ulicy Głogowskiej spada ku torowiskom skarpa porośnięta drzewami i krzewami. Właśnie kwitną jaśminy, roztaczając upojną woń, która nocą odurza bardziej niż za dnia. Świeci księżyc. W głowie lekki szum alkoholu. Dorożkarski koń haftuje ciszę rytmicznym stukotem kopyt. Zatrzymuję dorożkę, wchłaniamy razem z woźnicą niepowtarzalną woń jaśminów. Zaczyna świtać.

Kto tak umie dziś wracać z bibki? Wódce towarzyszy zazwyczaj wrzask, pełen wyrazów na „k”. Zamiast wesołości – agresja. Alkoholizm degeneruje organizm i psychikę. – No tak, w tamtych czasach ilość wódki na łebka była kilka razy mniejsza.

Dlatego lokale mogły być otwarte do północy, a kilkanaście zamykano w Poznaniu dopiero nad ranem. A na Alejach Marcinkowskiego restaurację Hallera otwierano o północy, zamykano w południe..

Było to zaraz za Biblioteką Raczyńskich, w miejscu gdzie dziś luka. Gdy o północy personel restauracji dziennych kończył pracę – tu ją rozpoczynano. Lokal Hallera zapełniali głównie kelnerzy. Obsługiwali innych przez wiele godzin, teraz sami chcieli być obsłużeni. Szedłem tam kilka razy z kelnerem, w którego rewirze siedziałem w Obywatelskiej na rogu Głogowskiej i Wyspiańskiego, gdzie obecnie księgarnia. To od niego dowiedziałem się o istnieniu „rannej” knajpy.

Gdy szło się do Hallera z kelnerem, nie wolno było wkładać ręki do kieszeni. Przedtem inni mieli gest – teraz on go miał i płacił. Około czwartej przy stolikach zagęszczało się, przychodził personel lokali nocnych: kelnerzy i parkietówki. Trafiłem tu kiedyś z dwiema takimi u boku. Oczywiście – też one fundowały. Żegnaliśmy się przed ósmą rano. Świeciło słońce. Szedłem prosto do roboty. Szaleństwo szaleństwem, a obowiązki obowiązkami.

8.V.1983

Gazeciarz

W poznaniu nie było nigdy gazeciarzy typu warszawskiego, biegnących przez ulice i wykrzykujących gazetowe tytuły, bo dystrybucja czasopism była tu zorganizowana zawsze na niezłym poziomie. Mój ojciec prenumerował dziennik „Postęp”, przemianowany w roku 1927 na „Nowy Kurier”. Chodziłem po to pismo każdego dnia do sklepu tytoniowo-papierniczego Trybusa przy ulicy Głogowskiej z kartonikiem, zawierającym w kratkach cyfry oznaczające dni miesiąca, na którym wypisano tytuł gazety prenumerowanej, nazwę miesiąca i nazwisko prenumeratora. Wydając dziennik, pan Trybus zakreślał na kartoniku odpowiednią kratkę. Oczywiście, byli ludzie, sprzedający gazety na ulicach albo w lokalach gastronomicznych, ale należeli do rzadkości. Gazeciarz typu warszawskiego pojawiał się w przypadku wydania dodatku nadzwyczajnego, donoszącego o jakiejś najnowszej sensacji. Poza tym byli mali gazeciarze, którzy roznosili pisma prenumeratorom do mieszkań.

Takim zostałem ja akurat w owym 1927 roku, mając 12 lat. To był mój pierwszy roboczy kontakt z prenumerowaną przez mojego ojca gazetą.

Trzy lata później, gdy byłem już uczniem seminarium nauczycielskiego i zdążyłem zasmakować pisania, a nawet druku, pisywałem dom tejże gazety – już do „Nowego Kuriera”, którego redakcja mieściła się na Alejach Marcinkowskiego w kamienicy dziś nie istniejącej – stały felietonik „Kącik uczniowski” podpisywany Turkay. Rypałem w nim wesoło całą prawdę o życiu szkolnym. Otrzymywałem za to pierwsze w życiu wierszówki; nie pierwsze zarobki, bo te inkasowałem już mając 12 lat. Ale dyrektorowi szkoły nie spodobała się ta moja cała prawda, więc dowiedziawszy się, kto jest autorem, nakazał mi wycofać się z felietonowego proceduru. Pisywałem więc nadal, podpisując się za każdym razem innym kryptonimem, dostosowanym do treści „kawałka”. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo moje stosunki ze szkołą były naprężone i niedługo już pozostawałem jej uczniem.

Po kolejnych trzech latach – a był to już rok 1933 i miałem właśnie kończyć 19 lat – przyjęto mnie do redakcji „Nowego Kuriera” w charakterze dziennikarza. W dużym, kilkusobowym pokoju na tychże Alejach Marcinkowskiego dostałem biurko, wyznaczono mi robotę w dziale miejskim i ustalono stawkę wierszówkową. Wynosiła ona 6 groszy, po kilku tygodniach podniesiona została do 8. Jako uczeń otrzymywałem za felietoniki po 4 grosze od linijki. Później, jako współpracownik różnych pism – 15 groszy. Kierował mną bezpośrednio sekretarz redakcji Jarogniew Kaniasty, a naczelnym redaktorem był – podobnie jak i trzy lata wcześniej – Jan Kaźmierczak. Ale pracowałem w „Nowym Kurierze” tylko rok. Potem padłem ofiarą kryzysu, a zarazem kolejnych zmian w redakcji, już teraz nie w tytule gazety, lecz w jej politycznym obliczu.

Tak więc w ciągu trzech trzyletnich okresów pełniłem kolejno trzy funkcje w tym samym dzienniku. Byłem: gazeciarzem, współpracownikiem i dziennikarzem. A wspominam dziś te sprawy, bo od objęcia pierwszej mej dziennikarskiej posady stuknęło równo pół wieku. Ale jubileuszu nie wyprawiam, bo jadłem chleb z siedmiu pieców i dziennikarstwo nie jest moim głównym zawodem. Zawsze czułem się przede wszystkim nauczycielem.

19.VI.1983

Tramwaj bez szyn

Wpierw – jeszcze w XIX wieku – były tramwaje konne. Gdy ja urodziłem się w domu przy ulicy Głogowskiej (bo wtedy człowiek nie rodził się ani w szpitalu, ani w klinice) – chodził po niej już dawno „tramwaj bez koni, z dyszlem na dachu”. Ale bez szyn?

Zjawił się na początku 1930 roku. Gazety doniosły, że sprowadzono go z Anglii, że jest pierwszy w Polsce i że nazywa się trolleybus. – Czyż mogłem tego nie zobaczyć? Czyż mogłem nie przejechać się tym?. Kursował między Rynkiem Śródeckim a Główną. Na Główniej nie miałem nic do roboty, nawet nikogo tam nie znałem. Ale musiałem tam się wybrać nowym środkiem lokomocji! Pojechałem piątką na Stary Rynek, stamtąd dwójką (nie płacąc za drugi przejazd, bo były wtedy bilety przesiadkowe) przez Chwaliszewo i dalej przez most Chrobrego i nad Cybiną – aż do Śródki.

Na Rynku Śródeckim obejrzałem sobie dobrze ze wszystkich stron ten wóz jak autobus, tylko z dwoma „dyszłami” na dachu. Spojrzałem w górę, na dwie nitki sieci zasilającej. Z namaszczeniem wchodziłem do wnętrza. Wykupiłem bilet u konduktora, bo wtedy jeszcze we wszystkich miejskich środkach lokomocji urzędowali konduktorzy. Było niedzielne popołudnie, poza mną jechały jeszcze ze trzy osoby.

Pojazd ruszył miękko, bezszelestnie. To była jazda! Z dumą patrzyłem przez okno, choć nie było na co patrzeć, ale oto jechałem czymś jedynym w Polsce! Na końcu – na jakiejś bocznej uliczce, z której pamiętam jedynie drewniany płot – wysiadłem z wozu, by po kilku minutach wsiąść do niego z powrotem. I oto ze Śródki czekała mnie powrotna droga do domu. Miałem 15 lat i wracałem do niego z kawałkiem wiedzy o moim mieście, z którego byłem dumny.

Kiedyż wrócimy do tych wygodnych i nie zasmradzających świata pojazdów, by zastąpić nimi autobusy?

3.VII.1983

Karuzela z kieratem

Cała prostokątna połąć ziemi między ulicami Głogowską a Klonowicza i między Wyspiańskiego a Spokojną (teraz: Kniewskiego) przez długie lata stanowiła plac naszych zabaw, stał na niej tylko jeden budynek narożnikowy na rogu Głogowskiej i Spokojnej. Dopiero w latach trzydziestych rosły tam budynki, obecnie zapełniające szczelnie tę połąć.

Pas tego prostokąta od strony Głogowskiej stanowił jedną wielką piaskownicę, a dalszy – od strony Klonowicza, wyżej położony – porastały przeróżne zielska. Tam na górcie, starsi po południu rozkładali koce, a dzieci na dole hasały po piasku. Zimą z górci na pazurki zjeżdżało się na sankach albo łyżwach.

I otóż na kawałku tej frontowej, niższej części bliżej ulicy Wyspiańskiego, która była równiejsza i twarda – stawały często karuzele. Albo była to karuzela łańcuchowa z bujającymi się siodłami albo podłogowa z ławeczkami i zwierzętami, na których spokojnie się siedziało. Silnik elektryczny w latach dwudziestych należał do rzadkości, rzadka była też sieć elektryczna, okoliczne domy oświetlane były gazem, a i na ulicach świeciły gazowe latarnie. Toteż karuzela napędzana była... ręcznie.

Jej sufit stanowił zarazem podłogę, osłoniętą ozdobnym pokryciem. Po drabinie wchodziło się tam między promieniście rozchodzące się od środka belki. Wchodziły dzieci, których nie stać było na opłacenie jazdy. Wystarczyło czworo czy pięcioro pchających owe belki i chodzących wokół, jak w kieracie, by karuzela szła. Kto przez pięć rund kręcił ją – za szóstym razem jechał sobie na dole bezpłatnie. W ten sposób myśmy mieli darmowe jazdy, a właściciel przedsiębiorstwa rozrywkowego – bezpłatny napęd.

Przyznam, że dla mnie i dla wielu z nas chodzenie w kieracie stanowiło atrakcję nie mniejszą od owej premiowej jazdy. Nie przyznawaliśmy się jednak do tego przed panem karuzelarzem.

7.VIII.1983

Radioodbieranie

Poznań jako trzecie miasto w Polsce – po Warszawie i Krakowie – postarał się o radiową stację nadawczą, a nadawanie rozpoczęło się wiosną 1927 roku. Nie miałem jeszcze trzynastu lat i uczęszczałem do Szkoły Wydziałowej przy ulicy Wyspiańskiego. Uczył w niej znakomity fizyk, łączący wspaniale teorię z praktyką tak, że dzięki niemu miałem już własnoręcznie zmontowany aparat fotograficzny, którym robiłem niezłe zdjęcia. Teraz ten cudowny człowiek na którejś lekcji nauczył nas, jak zrobić samemu „radiową stację odbiorczą” – jak to wtedy szumnie określano.

Uzbrojony w prosty schemat i parę notatek, kupiłem w sklepie Malińskiego przy Głogowskiej (rowery itp. technika) słuchawki na uszy, ileś tam metrów drutu „dzwonkowego”, kilka prostych gniazdek i wtyczek, kawałek grubszego drutu posrebrzanego do połączeń na desce, prosty detektorek i kryształek do niego. Dwie cewki sam nawinałem na tekturach nasączonych stearyną. Musiała być antena, musiało być uziemienia. Pierwszą stanowił materac w łóżku, drugie – kuchenny kran do wody. Całość kosztowała około czterech złotych. I oto pewnego dnia „złapałem falę”. Cud!!! Muzyka w domu, po niej głosy różnych mądrych ludzi. Gdy położyło się słuchawki na talerzu, mogli słyszeć wszyscy zebrani wokół stołu.

Oczywiście, najbliższej niedzieli pobiegłem na ulicę Bukowską, by zobaczyć naocznie, skąd to idzie do mojej stacji. Rzecz była, niestety, prosta: dwa metalowe maszty, druty rozpięte między nimi, budynek niewielki pod tym – wszystko razem ogrodzone siatkowym płotem. Wiedziałem, że podziemnym kablem idzie muzyka ze studia przy placu Wolności albo wieczorem z pobliskiego dansingu „Carlton”, w niedzielę zaś msza – z katedry.

Taka wiedza mi wystarczała, wiedziałem oczywiście też o niewidocznych falach. Więc ściągałem z podwórka do domu na słuchanie chłopaków, którzy nie mieli takich fajnych nauczycieli, a potem prowadziłem ich na Bukowską, by zobaczyli, skąd idą fale.

A detektorek przetrwał do września 1939 roku.

21.VIII.1983

„Wyczół” na Głogowskiej

Przy ulicy Głogowskiej, pomiędzy położonymi naprzeciw kościoła Matki Boskiej Bolesnej szkołami, a ulicą Chociszewskiego magistrat poznański wybudował na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych bloki mieszkalne, stojące zresztą do dziś. Jednym z prowadzących do mieszkań wejść wchodziłem w 1933 roku i piąłem się schodami na trzecie piętro, by złożyć wizytę wielkiej sławie polskiego malarstwa, uczniowi Gersona i Matejki, zarazem nauczycielowi wielu późniejszych mistrzów – Leonowi Wyczółkowskiemu.

Mistrza w latach dwudziestych sprowadziło województwo poznańskie, ofiarując mu pod Bydgoszczą (należącą wtedy do tegoż województwa) kawałek ziemi z domem, za czym mistrz tęsknił. To dlatego bydgoskie muzeum, noszące imię Wyczółkowskiego, posiada tak bogatą kolekcję jego dzieł. Ale wielki mistrz musiał mieć także mieszkanie w mieście i to oczywiście w mieście wojewódzkim, a więc w Poznaniu. Dostał je prosto spod murarskiej kielni, właśnie to przy Głogowskiej.

Fascynowało mnie zawsze malarstwo „Wyczół”, więc jeden jedyny raz w życiu zdarzyła mi się twórczość poetycka na kanwie cudzej sztuki.: napisałem cykl wierszy o jego obrazach, który po wydrukowaniu w „Kurierze Poznańskim” trafił do mego tomiku poetyckiego. Ze względu na aktualność postaci przypomnę, że był wśród nich wiersz o portrecie Adama Chmielowskiego, czyli Brata Alberta, z którym portrecista przyjaźnił się. Nikt wtedy nie przeczuwał beatyfikacji portretowanego., ale mój wiersz kończył się taka strofą:

*Wśród biednych z chlebem w ręku,
w boju okuty blachą –
w jasnowidzeniu malowany
święty kolega po fachu.*

Nic dziwnego, że stary malarz zaprosił młodziutkiego kolegę na pogawędkę. Przegadaliśmy bite dwie godziny z nim i jego żoną Franciszką, była jego służącą, z którą się ożenił w czasach „Wesela”, bo taka to była epoka.

25.IX.1983

Chodząc po grobach

Czy kto uwierzy, że połowa tereny Targów Poznańskich – to dawne cmentarze? Parków umarłych było w obrębie śródmieścia wiele, każda parafia miała swój. Pół obecnego Parku Marcinkowskiego – na dawnych grobach. Teren po lewej stronie u dołu za Mostem Dworcowym – to samo. Cały kawał ziemi przy ulicy Ogrodowej, między kościołem staroluterańskim a ulicą Ratajczaka – dawny cmentarz. I tak dalej

Większość terenu targowego, zaczynająca się pawilonem Pewexu, od strony ulicy Świerczewskiego, ku południu – to były cmentarze parafii św. Marcina i Marii Magdaleny. Tam w 1905 roku, a więc przed moim urodzeniem, pochowano moją babkę ze strony matki, ale grób jeszcze odwiedzałem. Ten park zmarłych należał do najstarszych i najpiękniejszych w Poznaniu, stały w nim wspaniałe grobowce. Ciągnął się podłużnym pasem w kierunku dyrekcji Targów, tuż za wieżą Górnosłąską (obecną iglicą) i sąsiedował z cmentarzem żydowskim, ciągnącym się dalej na południe aż do ulicy Głogowskiej.

Właśnie z Głogowskiej, za domami stojącymi na skrzyżowaniu z ulicą Śniadeckich, pomiędzy nimi a halami położonymi naprzeciw poczty dworcowej, znajdowało się wejście na cmentarz żydowski. Przez typowe, żelazne ogrodzenie widać było różnorodne, a tak odmienne od chrześcijańskich, groby wyznawców Mojżesza. Przy wejściu stał domek grabarza, którego syn nazwiskiem Zieliński chodził ze mną do tej samej klasy w szkole na rogu Głogowskiej i Strusia. Pamiętam, że nie uczęszczał na odbywające się wtedy w szkole lekcje religii i soboty miał wolne od zajęć. To może dziwne, ale przyjaźniliśmy się.

Doświadczenie tych i innych cmentarzy uczy, jak daleko za miastem powinno się chować umarłych, by nie trzeba było nigdy deptać po miejscach pochowku. Niesłusznie więc złorzeczyliśmy w latach międzywojennych, że tak daleko od śródmieścia urządzono cmentarz junikowski.

Pocieszam się, że grób moich rodziców na cmentarzu górczyńskim uchowa się jeszcze długo, tam przecież pochowano bohaterów Powstania Wielkopolskiego...

2.X.1983

Hetmańska

Jak to było, kiedy jej nie było? Bo pojawiła się dopiero po wojnie. Rosła stopniowo, poczynając się na Łazarzu, pierwotnie na zachód od Głogowskiej jako równoległa do Chociszewskiego. Potem Głogowską przecięła, z trudem dochodziła do tunelu pod torami kolejowymi i dopiero precyzyjnie się pod nimi strzeliła na Wildę, w ostatnim etapie doskakując do mostu na Warcie.

Co było przedtem? – Były przede wszystkim pola.

Miałem na Wildzie kilku kolegów szkolnych, do których z Łazarza chodziłem na Rolną, Fabryczną, Dąbrówki, Strumykową. Chodziłem też i dalej – do łązienek rzecznych. Czyżby mi się wtedy chciało jechać tam tramwajem?! – Przecinałem Rynek Łazarski, z niego ulicami Karwowskiego i Łukasiewicza dochodziłem do kolejowej, potem szło się między bocznkami kolejowymi, w bałaganie i brudzie, by dojść do tunelu. Kto by pomyślał, że tym tunelem pojedzie kiedykolwiek tramwaj! Nawet samochód rzadko się tam pokazywał, może częściej konna platforma, bardziej ożywiony był ruch pieszy, robotnicy szli tamtędy do pracy.

Tunel – jako miejsce ustronne – służył też do wielu celów różnym mętom społecznym. Wiezorami czaili się złodziejaskowie. Inni siadali pod murem, by wypić butelkę wódki. Najlepiej jednak pamiętam tych, co w ciągu dnia stali tu, organizując hazardową grę w „trzy karty”. Na miniaturowym składanym stoliku kombinator manipulował dwiema kartami czarnymi i jedną czerwoną, oczywiście z pewną zręcznością. Czerwona wygrywała. Gdy się podchodziło do miejsca hazardu – akurat zawsze ktoś wygrywał poważne sumy. Tym kimś był oczywiście wspólnik manipulanta. Ale wygrane zachęcały naiwnych. stawiali coraz wyższe stawki i splukiwali się doszczętnie. Gdy zaszedłszy na Wildę, doniósł ktoś z takich policji o swej krzywdzie – hazardowy stolik już nie istniał.

Ówczesna Hetmańska – to dla mnie właśnie tunel i trzy karty. Choć nigdy nie przegrałem. A nie przegrałem, bo nie grałem.

9.X.1983

Mój Bamber Gensler

Bambrzy – to dziś legenda, po której zostały dwie materialne pamiątki: pomnik Bamberki na poznańskim Starym Rynku i kobiety w bamberskich strojach, noszące feretrony na procesjach Bożego Ciała.

Bambrzy mojego dzieciństwa – to żywi ludzie, nie tający swej inności, obnoszący swe stroje nie tylko na procesjach. Młodym, mało co o nich wiedzącym, radziłbym sięgnąć po książkę Marii Paradowskiej „Bambrzy”, wydaną w 1975 roku. Można z niej dowiedzieć się o wiele więcej, niż to, że przywędrowali oni w połowie XVII wieku z Bamberii (część Bawarii) i osiedliwszy się w podpoznańskich wsiach Wilda, Jeżyce, Górczyn, Luboń i innych, spolszczyli się i stali się poznańskim patriotami, zachowując jednak pewne odrębności, zwłaszcza strój.

Istniejąca do dziś kamienica przy ulicy Głogowskiej 69, w której urodziłem się (bo wtedy ludzie rodzili się w mieszkaniach, a nie w spitalach), została zbudowana przez Bambrę Stanisława Genslera na początku XX wieku. Po śmierci gospodarza i jego żony Marcjanny posesja pozostała w rękach ich dzieci i stanowi do dziś własność potomków.

Choć między lokatorami a gospodarzami zawsze są jakieś antagonizmy, a my, dzieci, płataliśmy Genslerom rozmaite figle – zawsze szanowaliśmy ich. Cała rodzina zasługiwała na ten szacunek, także podczas okupacji hitlerowskiej, kiedy to Bambrzy okazali swój polski patriotyzm. Odnoszę się nawet z niejaką czcią do wszystkich tych Dayerlingów, Jesków i innych, a z 15-letnią prawnuczką Stanisława Genslera i jej mamą zaprzyjaźniłem się w ostatnich latach, choć mają mi za złe, że wyrażam się nie najlepiej o nienajpiękniejszym domu, którym gospodarzą. Przypominają mi cudowne lata dzieciństwa.

Gdy wspomnę Marcjanę Genslerową – widzę przepiękny strój bamberski. Gdy spojrzę na pomnik Bamberki na Starym Rynku – widzę swą dawną gospodynię. Niech niniejszy obrazek będzie jej malutkim pomniczkiem. Bo każdy Bamber z osobna też zasługuje na pamięć.

16.X.1983

Dać spokój Spokojnej

Kto mi zwróci moją ulicę Spokojną? – Mieszkałem na Głogowskiej na wprost niej, z widokiem na willę przy Klonowicza. Bawiliśmy się na jej asfalcie – bo należała do pierwszych w Poznaniu wyasfaltowanych ulic – na asfalcie, jak stół. Biliśmy bacikami bąki, rzucaliśmy stare monety niemieckie o krawężnik, dziewczęta bawiły się w klasy. Zjeżdżaliśmy z góry na drewnianych, własnoręcznie skonstruowanych wózkach, później na rowerze. To był nasz wiosenny raj. Bo później, latem, szło się na niedaleką „łąkę”.

Tuż po wojnie ta ulica nazywała się jeszcze Spokojna. Potem ją przemianowano na Limanowskiego, wreszcie na Kniewskiego. – Po co? I Limanowski mógł mieć w Poznaniu ulicę i Kniewski, ale nowe. A powstaje tych nowych aż tyle, że jedną z nich na Marcelinie nazwano Spokojną – Nie lepiej było mojej Spokojnej zostawić w spokoju? A tam zrobić Kniewskiego? I tak z wielu innymi, którym teraz częściowo przywraca się stare nazwy. Ale i z tymi bądźmy ostrożni, żeby nie powstał nowy galimatias. Taki, jak swojego czasu był z ulicą Mylną.

W 1900 roku razem z wsią Jeżycami włączono do Poznania ulicę Wysoką. Ale taka sama już wcześniej istniała w śródmieściu, więc były dwie o tej samej nazwie, co prowadziło do pomyłek. Żeby ich uniknąć, w 1920 roku tę jeżycką Wysoką przemianowano na... Mylną. Nawet ładnie. Ale lepiej szanować stare nazwy, nawet gdy się ich już dziś nie rozumie.

W Górczynie Niemcy pod koniec zaborów jedną z ulic nazwali Bossestrasse, czyli ulicą Bossego – nie największego polityka Roberta Bossego, o którym sami Niemcy niewiele wiedzieli, a cóż dopiero Polacy. Toteż pokolenie moich rodziców nazywało tę ulicę po prostu Bosą. I ta spolszczona, nic nie znacząca nazwa, później urzędowo usankcjonowana, uchowała się do dnia dzisiejszego. – Słusznie!

Bo trzeba szanować każdą tradycję. A gdy się czegoś nie rozumie, to przynajmniej tacy jak ja mają o czym pisać...

27.XI.1983

Rosenkavalier

Był to chudy, wysoki mężczyzna, którego dziś chce mi się porównać z Don Kichotem. Wtedy mi to porównanie nie przyszło do głowy, rzecz bowiem działa się w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej, gdy miałem kilka lat. Postać ta stanowiła relikwiarz czasów zaborczych, może dlatego nie usłyszałem z jego ust żadnego słowa, prawdopodobnie człowiek ten nie znał języka polskiego. Stąd też po niemiecku brzmiący epitet: Rosenkavalier. Był najbardziej uduchowioną postacią, jaką w swym młodym życiu spotykałem, a spotykałem na odcinku Głogowskiej między Dworcem Zachodnim a ulicą Jeskiego.

Ubrany był zawsze jednakowo, w czarny surdut i wąskie spodnie, krótkie, sięgające za ledwie kostek. Na nogach nosił czarne, szpiczaste półbuciki. W butonierce tkwiła nieodłączna różyczka. Ziemista twarz promieniała uduchowieniem, jakby jej właściciel pozostawał w stałej ekstazie. Chodził też ten człowiek krokiem lunatyka. Było w nim z jednej strony coś wzniosłego, jakby napawającego lękiem, lecz zarazem i komicznego. Można by go traktować jako pierwowzór Charlesa Chaplina. Najważniejszy jednak rekwizyt związany z postacią Rosenkavaliera – to pudełko z różami, które niósł przed sobą w dłoniach na wysokości piersi.

Nie mogę przypomnieć sobie oczu tego człowieka, wydaje mi się, że miał je zwykle zamknięte albo przymknięte i poruszał się jakby po omacku, choć na pewno nie był niewidomy. To, że nigdy nie słyszałem jego głosu – stanowiło dodatkowy element tragikomizmu tej postaci z innej, bardziej odległej epoki. Nie widziałem też nigdy, by ktoś kupował od niego kwiaty. Lecz niewątpliwie jacyś kawalerowie musieli je kupować dla swych – jak się wtedy mówiło – panienek.

Nie ma dziś Rosenkavaliera, bo epoka jest inna. Nie ma też jednak prawie dziewczątek z kwiatami. Są kwaciarnie, są kwaciarki, lecz gdy potrzebuje się kwiatka, na przykład wieczorem – nie ma skąd go wytrzasnąć. A właśnie wieczór sprzyja kwiatowym wizytom...

11.XII.83

Tempora mutantur

Od wczesnej młodości do dziś (to znaczy do późnej młodości) przepadam za nocnymi spacerami. Lubię łązić po mieście, po lesie, nawet po cmentarzu. Oczywiście, jako chłopiec nie mogłem sobie w domu rodzicielskim na to pozwolić, więc wstawałem o wczesnym świcie i lazałem z Łazarza na przykład do Dębiny, która od dawien dawna stanowiła docelowy punkt spacerów i zbiorowych wycieczek, zwanych majówkami. Pamiętam, jak moja nieżyjąca siostra, śpiewająca w chórze pod dyrekcją Witalisa Dorożały, zabrała mnie kiedyś na majówkę chórową. Zaczęło się to oczywiście od wczesnej mszy niedzielnej – inaczej nie wypadało – i trwało do późnego wieczora. Spacery, zabawy, śpiewy, towarzyskie gry ruchowe.

Najbardziej jednak zazdrościłem tym, co mogli pozwolić sobie na całonocne eskapady. Nieraz wczesnym rankiem w mieszkaniu na Głogowskiej budziły mnie śpiewy młodych ludzi z towarzyszeniem mandolin i gitar. Na obu tych instrumentach grał jeden z moich kuzynów i chadzał na całonocne wycieczki, odbywane z soboty na niedzielę.

Gromada takiej młodzieży zbierała się późnym wieczorem, szła spacerem za miasto, nad Wartę i spędzała krótką noc letnią kulturalnie, bez kropli alkoholu, po prostu wypoczywając w ten sposób po pracy. Nie wątpię w to, bo kuzyn był człowiekiem wyjątkowo szlachetnym, choć zawsze pogodnym i przy tym stroniącym od kieliszka. Nad ranem towarzystwo wracało z Dębiny z muzyką i śpiewem. Mieszkańcy ulic budzili się, lecz bez gniewu, bo miłym tonom nie towarzyszyły żadne wrzaski ni krzyki. Podchodziłem do okna, wychylałem się na ulicę, spoglądałem na tych młodych ludzi i zazdrościłem im, tak pięknie wracającym z nocnej zabawy. Postanowiłem sobie, że gdy dorosnę... itd., lecz gdy dorosłem – obyczaj ten znikł.

Tempora mutantur et nos mutamur in ilis – jak mówi rzymskie przysłowie. – Czasy się zmieniają, a w nich i my ulegamy zmianie.

25.XII.1983

Patrzę na twoją fotografię...

*Patrzę na twoją fotografię,
którą dziś przysłałaś mi
i wypowiedzieć nie potrafię...*

Boże, cóż ja nucę! Fotografia ma pół wieku bez jednego tylko roku. Nie przysłała mi jej Zosia dzisiaj, mam ją od tamtego czasu. A tango z tym tekstem – tango „Już nigdy” – grano na tym balu, na którym oboje jesteśmy sfotografowani pod gronem kolorowych baloników. Wisi między nimi – zaraz nad naszymi głowami – ozdobny napis „KARNAWAŁ 1935”. Zosia była pierwszą moją prawdziwą miłością. Miałem dwadzieścia lat, ona osiemnaście. To był nasz pierwszy bal sylwestrowy. Pierwszy i ostatni.

Gdzież mnie tam było stać na bale! Pękał człowiek popoliłą biedę. To prawda, że gdy załapałem jakiś grosz, to lubiłem pohulać, by zapomnieć o codziennych niedostatkach, o braku perspektyw... Ale szedłem wtedy raczej do zwykłej knajpy albo na dansing w podrzędnym lokalu. Sylwestra spędzałem w jakimś gościnnym, a zasobniejszym domu. Na brak zaproszeń nie mogłem narzekać, czasem nawet wybierałem między jednymi a drugimi znajomymi.

Ho!!! Sylwestra obchodzono wtedy hucznie! Kolosalne różnice w sytuacji materialnej różnych grup społecznych – bogactwo jednych, nędza drugich – nie były tego dnia widoczne. Kto nie miał – szedł po prostu spać. Kto miał – szalał. I tylko takich było widać.

Tylko takimi zapełniały się ulice tego wieczoru. Dorożki konne i taksówki miały pełne ręce roboty. Panie w powłóczystych sukniach. Nawet moja Zosia ma na zdjęciu długą, białą sukienkę, co prawda skromną. Panowie w ciemnych garniturach. Nawet ja.

Balów i wieczorków sylwestrowych było zatrzęsienie. Chyba wszystkie istniejące restauracje i kawiarnie organizowały ludziom tę noc? Oczywiście były droższe i tańsze. Ja – w zasadzie nie balując – jak już szedłem, to do dobrego lokalu. Upodobałem sobie „Belweder” – świetną restaurację targową, mieszczącą się w tym samym miejscu, gdzie obecna „Adria”, przy ulicy Głogowskiej. Tyle że wchodziło się do niej innymi drzwiami. I lokal był większy niż dziś, choć nie żadne „Variaté”, tylko zwykła, nobliwa restauracja.

A w balach sylwestrowych w „Belwederze” uczestniczyłem dwa razy. Oto na drugim zdjęciu stoję z drugą moją miłością – Irka. Nie ma nad nami baloników ani napisu, stoimy na tle ustrojonej choinki, ale wiem, że witaliśmy pod tą choinką Nowy Rok 1939 – ostatni przedwojenny. Równie huczny jak poprzednie, a może jeszcze huczniejszy...

Nie wiem, jaki był i jest wojenny i powojenny los Zosi, może, wyszedłszy za kogoś innego, czytuje dziś moje „Powroty”, w których nie po raz pierwszy ją wspominam? Znam natomiast los Irki. Poszła w 1940 do Fortu VII, stamtąd do Oświęcimia, gdzie ja w 1942 zamordowano i spalono. Toteż bardzo drogą pamiątką jest dla mnie wypisany jej rączką na odwrocie zdjęcia tekst: „Tu stoi pod choinką kochany Lenek z Ireczką”.

Wspominam ją w Sylwestra, 45 lat od tamtego i nie płaczę. Gdybym miał płakać po wszystkich, których straciłem – nie starczyłoby łez... Ale wspomnieć trzeba, nawet sącząc z kieliszka szampan...

Bal w „Belwederze” był na sto dwa. Żarcia i picia co nie miara, do wyboru, czego dusza zapagnie. Ale dusza nie mogła pragnąć za dużo. Tańczyliśmy za to bez tchu. Zarówno z Zosią jak i z Irką. W obszernych pomieszczeniach „Belwederu” stały do dyspozycji dwa parkiety, grały równocześnie i bez przerwy dwie orkiestry, bo były cztery i gdy dwie grały – drugie dwie odpoczywały. Jedna kończyła – następna zaczynała. W ten sposób od wieczora do białego rana goście mogli tańczyć bez ustanku...

A biały dzień noworoczny rozpoczęliśmy z Irką też pogodnie. Pamiętam, jak owego 1 stycznia 1939 około 8-9 rano wracaliśmy z „Belwederu” – ja na Głogowską, ona na Strusia. Tuż za ulicą Gąsiorowskich po schodkach wstąpiliśmy do cukierenki Franciszka Kamińskiego – mistrza piekarskiego z Łazarza, który miał kilka filii. Tu – już w innym nastroju wypiliśmy kawę, zjadając smakowite ciastka. Potem, już w domu Ireczki, długi pocałunek i – do widzenia! Spać!

Nie przeczuwaliśmy, że w tym rozpoczętym dopiero roku stanie się najgorsze.

„Patrzę na twoją fotografię” – mówiło tango. A w refrenie śpiewało się: „Już nigdy nie usłyszę kochanych twych słów”... Wszystko się zgadza, ale bale sylwestrowe jak były tak i będą. Tyle że ja na nie już nie chodzę, choć akurat byłoby mnie na to stać.

1.I 1984

Stalość i ciągłość

Są w śródmieściach Paryża, Londynu, Wiednia sklepy, zasiedziały od wieków w tym samym miejscu. U nas raczej „wszystko płynie”. Gdzie wczoraj kupiłeś papier, dziś dostaniesz... maść, gdzie przed tygodniem mąkę – dziś wódkę. Toteż satysfakcją napawa widok branż zasiedziały od dziesiątków lat. Nawet na mojej rodzinnej Głogowskiej niemało jest miejsc, w których – choć wskutek ustrojowych przemian zmienili się właściciele – pozostały firmy zajmujące się wyrobem czy sprzedażą tych samych produktów. Wymienię tylko niektóre.

Głogowska 34 – wytwórnia „Lechii”, w głębi, w tych samych zabudowaniach, które stoją tu od dawna. To nic, że za czasów mego dzieciństwa gospodarowała tu firma „J. i S. Stempiewicz, Fabryka Perfum i Mydeł Toaletowych” – łza kręci się w oku...

Głogowska 53, między Kanałową i Strusia – sklep mięsny. Tu gospodarzył stary, jeszcze z czasów zaborczych, rzeźnik Karol Reschke.

Naprzeciwko Parku Kasprzaka numer 45 – „chałupeczka niska, ojciec matkę ścisła”. W tej, wcale nie na szczęście zachowanej ruderze utrzymała się kwiaciarnia. Bo także kwiaciarnię miała w tym domu przed wojną Anna Krajewska z ulicy Półwiejskiej, której siostra, Aniela Budrewiczowa, prowadziła tutaj filię. Były to moje dobre znajome. Chadzałem – nie po to, by kupić kwiaty, lecz po to, by po prostu odwiedzić właścicielki – zarówno na Półwiejską, jak i na Głogowską. Tu na Łazarzu częstowano mnie owocem, bo i ten znajdował się w sprzedaży obok kwiatów. Tu poznałem moją pierwszą miłość – Zosię, której poświęciłem wielokrotnie drukowany wiersz o ulicy Półwiejskiej, bo przy niej, podobnie jak właścicielki – mieszkała. W tych kwiaciarniach, posyłających często kwiaty do teatru, poznałem niektóre aktorki, najbliżej Katarzynę Żbikowską. Łza się kręci...

A zarazem, patrząc na tę, tak rzadką niezmienną branż, napęła się człowiek poczuciem stalości i ciągłości, tak potrzebnym do życia, zwłaszcza w czasach totalnego zagrożenia.

26.II.1984

Przystanek

Przystanek tramwajowy na Sołacz. Stara budowa wsparta o ścianę parku. Zielone deski i listwy, pozabijane miejscami zwykłymi dechami. Z tyłu dobudówka, ktoś tu musiał w międzyczasie prowadzić bufet.

Ale myśmy wchodzili do tej pięknej niegdyś poczekalni czymś jakby werandką, zwieńczoną ukośnym daszkiem. Wnętrze chroniło od deszczu i wiatru, zimą od mrozu i śniegu. Szkolone okna. Czyściutko, kulturalnie. Pod ścianami stały ławeczki. Ale to przeszłość.

Był to końcowy przystanek dziewiętnastki. Tu kończyła bieg przez całe lata, nim pociągnięto tory dalej, aż do Gołęcina. Tu wysiadało się z tramwaju, by pójść do parku, czasem na łódki, rzadziej na restauracyjny taras. Tu potem wracało się i w pawiloniku czekało na dziewiątkę, by wrócić do miasta. Gdym dorósł, interesowały mnie dancingi, urządzone w kilku pobliskich willach. Muzykowały w nich przeważnie grające szafy, ale tańczyło się przy nich świetnie.

Takie same przystanki znajdowały się także w kilku innych punktach miasta. Pamiętam taki – pewnie większy – przede wszystkim na placu przed Dworcem Głównym, przy pętli tramwajowej, do której ulicą Dworcową zjeżdżała jedyńka. Był taki również przy ulicy Głogowskiej, na przystanku „targowym”, obok Dworca Zachodniego. Czyż nie stał taki i na Dębku? A może jeszcze gdzie indziej?

Zdaje się, że ten na Sołacz jest już ostatni. Przedstawia się obecnie żałośnie, prezentuje jedynie szczątki minionego, secesyjnego piękna. Szkoda, że taki zeszpecony. I zaniedbany, jakby nikomu niepotrzebny.

Gdyby to ode mnie zależało, zafundowałbym poznaniakom – a przecież nie tylko im, bo i ludziom przyjezdnym – taką odtworzoną według pierwotnego wzoru poczekalnię tramwajową. Choćby tę jedną – na Sołacz. Gdzie jak gdzie, ale właśnie tu pasowałaby bardzo do otoczenia, które nie zmieniło się od tych dawnych lat, gdy doprowadzono tu linię tramwajową.

11.III.1984

Fingerabdruck

Miesiąc pamięci narodowej. Owszem, pamiętamy. Zachowały się nam nawet niektóre pamiątki. Na przykład „Anmeldung zur polizeilichen Einwohnerfassung” czyli „Zgłoszenie celem policyjnego stwierdzenia ludności”, jak to określa drukowany formularz dwujęzyczny, który myśmy nazywali krótko Fingerabdruck, gdyż tożsamość była na nim ustalana nie przy pomocy zdjęcia, lecz przy pomocy odcisku palca.

Musiałem celem zmylenia okupanta przemeldować się z Głogowskiej do szwagra, mieszkającego wtedy przy Słowackiego. Zachował mi się odcinek tego przemeldowania z 13.X.1939 r.; Słowackiego nazywała się wtedy Friedrichstrasse. Na Fingerabdrucku nazywa się już Robert-Koch-Str. Nie pamiętam, kiedy wyrabiało się te „Anmeldungi”, chyba w listopadzie.

Pamiętam, jak chodziłem od jednego punktu meldunkowego do drugiego, ale całkiem zapomniałem, przy których to było ulicach. Fakt, że wpierw z czyją pomocą sporządziłem sobie trzy przedwojenne legitymacje z fotografiami, każda na inne nazwisko, w tym jedna prawdziwa. I zacząłem obchód po tych policyjnych punktach meldunkowych. Wpierw zameldowałem się na jedno z fałszywych nazwisk, następnie, w innym punkcie, na drugie. Widząc, że oprawcy niczego nie sprawdzają – poszedłem do właściwego punktu i pod nazwiskiem Turkowski zameldowałem się jako mieszkaniec tej ich Robert-Koch-Str. Najzupełniej legalnie. Ale w ten sposób w każdej kieszeni miałem inne nazwisko.

Wykaraskawszy się z głupiej i niebezpiecznej przygody przy ulicy Strusia, czekałem potem przez całą zimę u krewnych na rogu Poznańskiej i Jeżyckiej, aż mnie razem z nimi wywiozą do Generalgouvernement. Nie doczekałem się. Więc w sam prima aprilis 1940, na pożyczonym rowerze, którego już nigdy nie zwróciłem, przeprawiłem się do nowego GG przez zieloną granicę – z jeszcze innymi fałszywymi dokumentami. Po tamtej stronie wszystkie owe fałszerstwa zniszczyłem, zostawiając sobie tylko ten jeden prawdziwy Fingerabdruck.

1.IV.1984

Berwińskiego 1

Miesiąc pamięci narodowej. Owszem, pamiętamy. Przychodzę tu celowo, by sobie przypomnieć. Na ulicę Berwińskiego 1. Tuż obok szkoły, do której chodziłem jako chłopiec.

Tablica firmowa głosi: „Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego”. Śmieszne. Tu na parterze, podczas okupacji też projektowano. Projektowano na przykład to, który budynek, którego wieczoru obstawić przez policjantów, by wejść do niego, pukać do kolejnych drzwi, krzyknąć „Raus!” i kazać Polakom opuścić mieszkanie raz na zawsze w ciągu piętnastu minut, a następnie wywieźć ich z ojczystego miasta w obce strony i nazwać to, na pośmiewisko, repatriacją.

Tak, bo tu mieścił się komisariat policji niemieckiej. Po raz pierwszy trafiłem do niego w połowie października 1939 r., gdy mój ojciec powiesił się, nie wytrzymał nacisku grozy okupacyjnej.

Po raz drugi przyprowadzono mnie tu w styczniu 1940 r. Nakołowawszy się przez parę tygodni po mieście, bez stałego miejsca noclegowego, zadekowałem się wreszcie przy ulicy Strusia 3 na czwartym piętrze u znajomej babci z wnuczką, pozostając zameldowany przy ulicy Słowackiego. Obok w pokoju dekował się już były dyrektor seminarium nauczycielskiego z Rogoźna.

Owego styczniowego wieczoru, gdy przyszli wywieźć babcię – dyrektora nie było na miejscu. Na szczęście, bo miał wyrok śmierci. Ja byłem. – Co to za jeden obcy? – pyta policjant. – Przyjechałem ze wsi, z Kazimierza pod Szmotułami i jutro wracam. Pokazałem sfalszowaną przepustkę i sfalszowany dowód tożsamości na obce nazwisko. Gorzej, że w drugiej kieszeni nazywałem się inaczej, a w trzeciej – Turkowski.

Policjant prowadził mnie na ten komisariat przy Berwińskiego 1. Babcię z wnuczką i tobołami dołączono do tłumu na ulicy, a mnie poprowadził policjant do wnętrza. W przedpokoju zapukał do drzwi komendanta i zniknął za nimi.

W następnej sekundzie zniknąłem i ja. Z przedpokoju – na zewnątrz. Podwórzami na Wyspiańskiego. Skok przez Głogowską – na Strusia. Tam się mnie nie spodziewali.

8.IV.1984

Na wyraju

Nasze podwórze – nasza ulica – nasza łąka. Trzy światy mojego dzieciństwa. Wcześniej była tylko nasza sień.

Na podwórzu robiło się właśnie to wszystko, co dzieci robią dzisiaj na podwórzach i osiedlowych placach. Zabawy były jednak nieco odmienne. Grało się przede wszystkim w klipę. Częstszy był palant. Odmienne były zabawy zwane przez psychologów rolowymi: w rycerzy i rozbójników, w czarnego luda i wiele innych.

Mieszkałem i rosłem przy ulicy Głogowskiej, ale naszymi ulicami były: Spokojna (dziś Kniewskiego) i Klonowicza – obie o cudownych asfaltach. Były nasze, bośmy je okupowali od wczesnej wiosny do jesiennych deszczów. Ruch samochodowy praktycznie nie istniał. Groźny był za to tramwaj, gdy zjeżdżało się Spokojną w dół ku Głogowskiej na rowerze, albo częściej „karetą”, zmajstrowaną własnoręcznie ze skrzynki uzupełnionej kijem jako dyszlem i wykombinowanymi gdzieś, albo wyciętymi z drewna kółkami.

Ale na ulicy uprawiało się przeważnie inne zabawy. Puszczano się na przykład bąka, o którym jednak napisze osobno, bo to ważny i skomplikowany temat. Grało się „w bejmy”, czyli stare poniemieckie monety, które rzucało się i odbijało o krawężnik, by spadały na asfalt, a gdy trafiło się swoją ma odległość nie większą niż rozstawione palce jednej dłoni – wygrywało się. Dziewczęta bawiły się oczywiście w klasy, wyrysowane na asfalcie kredą. I w skakanki. Obie płci uwijały się z obręczami ze starych beczek, kulanymi przy pomocy kijka lub odpowiednio zagiętego drutu. Wszystkie zabawki pochodziły z odpadków, przy czym niejedną majstrowało się samemu.

Łąka – był to prostokąt ograniczony ulicami: Spokojną, Klonowicza, Wyspiańskiego, Głogowską – jeszcze wtedy nie zabudowany. Chyba ona stanowiła główne centrum zabaw? Ale wobec tego i o niej muszę napisać osobno.

13.V.1984

Łąka

Cała populacja Głogowskiej od Rynku Łazarskiego aż do Ogrodu Botanicznego (późniejszego parku Wilsona, obecnie Kasprzaka) wylegała od wczesnej wiosny do późnej jesieni na „łąkę”, rozciągającą się na prostokącie ziemi między ulicami Głogowską a Klonowicza oraz Wyspiańskiego a Spokojna (Kniewskiego). Przestrzeń ta była nie zabudowana, stał na niej tylko jeden jedyny dom na rogu Głogowskiej i Spokojnej.

Plac ten stanowił dosłowną łąkę tylko w swojej wyższej części, od strony ulicy Klonowicza, a rosły na niej nie tyle trawy, co chwasty. Wystarczało to, by dorośli rozkładali się tam na kocach, nieraz z dzbankami lub butelkami napoju i zawiniątkami jedzenia, by obserwować swe bawiące się niżej maluchy. Reszta placu – ta od strony Głogowskiej – stanowiła jedną wielką piaskownicę, na której niekiedy tylko stawała karuzela – ta, którąśmy ręcznie kręcili. Ten układ rzeczy nie przeszkadzał ludziom nazywać łąką całość. Gdy ktoś się bawił w piasku – był też „na łące”.

Tam kopało się i ryło cudowny, biały i żółty piach, tak że powstawały doły, góry, rowy, piaskowe fortece i zamki. Tam hasało się, urządziło gonitwy, wykorzystując wykopy jako kryjówki. Na równiejszych miejscach dziewczęta bawiły się kolorowymi kulkami, którymi trzeba było przy pomocy pchnięcia palcem trafić do wyżłobionego zagłębienia. Taki dziewczęcy bilard. Klasy, klipa, palant, dwa ognie, piłka nożna – nie było gry, której by tu nie organizowano. Pamiętam też zabawę w sklep. W większym dole na wadze z pudełka po zapalkach „kupiec” odważał z kupeczek piasku mąkę, cukier, sól, mak, kaszę, inkasując różnobarwne kamyczki i szkiełka jako zapłatę. Do ulubionych zabaw należało podglądanie przez chłopców w głębi dołu tego, co miały znajdujące się na górze dziewczęta pod sukienkami, a nie były to bynajmniej majtki, bo tych się latem nie nosiło.

Gdy ktoś z grona hasających po łące poczuł pragnienie lub głód – biegł do mamy na górną część łąki, lub zwyczajnie do domu celem posilenia się. Ale to ostatnie kryło w sobie niebezpieczeństwo, bo można było usłyszeć polecenie pozostania w mieszkaniu, bo już dość, bo już nie ma co wracać na dwór.

Nie na całą zimę łąka zamierała. W śnieżne dni szło się na nią z sankami lub łyżwami, a czasem i na zwykłą ślizgawkę. Na długich, wygładzonych ścieżkach można było za jednym poślizgiem zjechać z Klonowicza aż na Głogowską. To była jazda! Tylko że potem w domu słyszało się wymówki na temat darcia zelówek...

Łąka była najmilszym z naszych dziecięcych rajów.

20.V.1984

Wyższa szkoła zapuszczania bąka

Nigdy mi nikt nie kupił ani jednej zabawki. Przez cały okres dzieciństwa ja i moi przyjaciele bawiliśmy się zabawkami naturalnymi, jak na przykład okrągły kamyczek lub kolorowe szkiełko czy wreszcie liście lub gałązki i korzenie, albo zrobionymi własnoręcznie albo przez rodziców czy starsze rodzeństwo po prostu z odpadków: z pudełek, szpulek, kawałków drewna opałowego, sznurka, guzików itp. Jaki fajny był na przykład telefon z dwóch pudełek po paście do obuwia i kawałka szpagatu. Jak zgrabnie wznosiła się ku niebu „drachyta”, czyli papierowy latawiec z drewnianym kręgosłupem i długim ogonem z kawałków papieru. Dziś dzieci otrzymują fabryczne zabawki i psują je, dzięki czemu wyrastają im ręce „z piasku”. Myśmy zabawki tworzyli, wyrabiali w sobie zmysł konstrukcyjny, twórczy, ręce wyrastały nam złote.

Robiło się samemu nawet bąk z bacikiem. Bąkiem był wtedy drewniany stożek wysokości 5-7 centymetrów, uzbrojony na czubku gwoździkiem, o powierzchni porowkowanej i barwnie pomalowanej. Można było oczywiście kupić gotowy w sklepie, ale bacik robiło się zawsze samemu. Puszczano się go na asfalt (koniecznie!) czubkami palców założonych jeden na drugi tak, aby sprężynowały. Bąk zeskakiwał na asfalt i wirując, toczył się naprzód albo stał w miejscu na czubku. Obrotów dodawało mu się właśnie bacikiem. Uwiązany na kijku sznurkiem biło się go po prostu, by kręcił się dalej.

Zapuszczanie bąka, czyli uruchomienie go, stanowiło odrębną i wcale niełatwą sztukę. Robiło się to nie tylko założonymi w sprężynę palcami. Można było zakręcić go na asfalcie dwiema rękami. Najtrudniejszym jednak sposobem było wypuszczanie bąka z bata. Zawijało się sznurek dookoła w rowkach, a następnie nagłym porywem bata bąk odkręcał się ze sznurka, wprawiając się w ruch wirowy.

Próbowałem dziś wszystkich tych sztuk. Udały się.

27.V.1984

Samochód pani doktorowej

Osobowy samochód w całej naszej okolicy mieli tylko państwo doktorostwo Sokołowscy. Lekarz Łucjan Sokołowski mieszkał przy ulicy Głogowskiej 43, ale moje drogi nigdy do niego nie prowadziły. Za to drogi jego i jego żony prowadziły wzdłuż całej ulicy, więc także i przed naszą kamienicą. Chyba częściej drogi żony niż męża, jeżeli w mej głowie utrwaliła się tylko jedna wersja domowego zawołania: - Chodźcie, patrzcie, jedzie pani doktorowa Sokołowska!

Istotnie, ludzie na chodnikach przystawali i gapili się tylko w tę jedną stronę, z której z głośnym warkotem sunął otwarty pojazd – nie wiem czy Ford, czy Opel, czy jeszcze inny – z potężną maską silnika, na kołach ze szprychami, z kołem zapasowym w tyle, z przysłowiową trąbką ostrzegawczą. Przy kierownicy siedziała wystrojona dama, za nią dwoje dzieci. Rzadko kiedy naciskała gumową gruszkę, by zatrąbić, bo wszyscy zawczasu zmykali przed pojazdem, nawet z chodników. Gdy miała skręcać w boczną ulicę, wysuwała całe ramię na zewnątrz wozu, wskazując, w którą stronę pojedzie. Starzy ludzie to śmiali się, to załamywali ręce ze zgrozy, jak to taką babę diabeł kusi. My – dzieci zazdrościliśmy jedynie jej siedzącym za nią synalkom.

Dopiero później pojawiło się więcej samochodów na ulicach Poznania. Długo jeszcze trąbiły pod naciskiem gumowej gruszki, nim otrzymały elektryczne sygnały. Długo jeszcze potrało, nim zainstalowano im kierunkowskazy – takie wyrzucane na bok strzałki. Długo jeszcze każdy z nich woził na swoim tyle piąte, zapasowe koło i długo jeszcze to koło miało szprychy, nim zastąpiono je lśniąca blachą.

Jak było, tak było, fakt, że jako pierwszy samochód osobowy utrwalił się w mej pamięci ten właśnie, którym jeździła po ulicy Głogowskiej pani doktorowa Sokołowska, budząc sensację i popłoch.

5.VIII.1984